

O czym nie powinno się rozmawiać z dziećmi

23 czerwca 2014

Dobre dwadzieścia lat temu, jeszcze w trakcie studiów, zaczynałem pracę nauczyciela-polonisty w sympatycznej podstawówce. Uczyłem w siódmych i ósmych klasach, ale często zdarzało się, że musiałem zastąpić koleżankę lub kolegę w klasie młodszej. Trafiło mi się kiedyś pilne zastępstwo u maluchów, w – jeśli dobrze pamiętam – drugiej klasie. Ponieważ dowiedziałem się o nim tuż przed rozpoczęciem lekcji, nie było mowy o jakimś przygotowaniu tematu czy konspektu – musiałem improwizować. O czym rozmawiać z takimi dzieciakami? Chwyciłem podręcznik jednego z nich i po przekartkowaniu znalazłem znany mi od dziecka wierszyk (jeszcze się wtedy w podręcznikach uchował) Juliana Tuwima „Wszyscy dla wszystkich”:

„Murarz domy buduje,
Krawiec szyje ubrania,
Ale gdzieżby co uszył,
Gdyby nie miał mieszkania?”

A że wierszyk pamiętałem ze szkoły, przypomniałem sobie nagle lekcję, w której przy okazji jego lektury, sam uczestniczyłem jako maluch. Moja wychowawczyni prosiła kolejne dzieci, by powiedziały, jaki zawód wykonują rodzice, później opowiedziały trochę o ich pracy, a każde inne dziecko mogło się zgłosić wtedy, kiedy stwierdziły, że zawód jego rodzica jest w jakiś istotny sposób powiązany z zawodem rodzica poprzednika. Kiedy więc jeden z moich kolegów opowiedział, że jego mama pracuje w sklepie i sprzedaje ludziom chleb i mleko, zgłaszała się koleżanka, której tata pracował jako zaopatrzeniowiec i rozwoził do sklepów towary samochodem, po nim kolega, którego z kolei tata pracował w warsztacie samochodowym itp. Kiedy dzieciom zabrakło inwencji w odnajdywaniu takich powiązań, wychowawczyni pomagała. Ponieważ mój ojciec jako nauczyciel-

resocjalizator prowadził wtedy pracownię skutniczą dla chuliganów z Woli i czasem mnie do pracy zabierał, ja – pamiętam – zgłosiłem się po opowieści koleżanki, której mama pracowała jako leśnik (tak mi się skojarzyło: las-drewno-łódki) opowiadałem (może zbyt długo), jak dłutem i strugiem profiluje się wręgi, gotuje klej stolarski, szyje na maszynie żagle, woduje łódkę i wiele podobnych historii. Pamiętam, że wszyscy opowiadaliśmy dumni z naszych rodziców.

No i powtórzyłem tę lekcję już jako nauczyciel. Wyszła tak sobie, dzieci coś tam poopowiadały, ale jakoś niechętnie odnajdywały wzajemne zależności różnych zawodów. No cóż – wytłumaczyłem sobie – gdzież tam mnie, człowiekowi bez doświadczenia w pracy z maluchami i bez znajomości klasy naśladować własną wychowawczynię. A poza tym to już nie były te czasy, kiedy rodzice zabierali dzieci do pracy. Te czasy właśnie się niedawno skończyły.

Kilka dni później zostałem poproszony do gabinetu dyrektorki szkoły. Oprócz niej siedziała tam już nauczycielka, którą zastępowałem i szkolna pani pedagog (słowa „pedagożka” wtedy jeszcze nie używano). Okazało się, że zostałem wezwany na dywanik w sprawie lekcji, którą przeprowadziłem. Dzieci poskarżyły się rodzicom, a rodzice dzwonili do szkoły z pretensjami. No bo jakże tak można: wypytywać dzieci przy innych dzieciach, czym zajmują się ich rodzice? Czyżbym nie wiedział – usłyszałem – że do naszej szkoły chodzą nie tylko dzieci jakichś ważnych i zamożnych osób, ale że większość uczniów ma rodziców zwyczajnych: robotników, ekspedientki, pielęgniarki albo motorniczych tramwajów? Przecież są tu także dzieci rodziców bezrobotnych i „różnej społecznej patologii”. Czy ja się przez moment chociaż zastanowiłem, co będą czuły takie dzieci, kiedy każe się im opowiadać, czym zajmują się ich rodzice, a zwłaszcza kiedy same będą słuchać, że rodzice innych dzieci robią wspaniałe kariery, świetnie zarabiają, że po prostu są lepsi od ich własnych rodziców. Tłumaczyłem się, że przecież ani przez moment nie rozmawiałem z dziećmi o tym,

ile ich rodzice zarabiają i jakie kariery robią, ale o tym, na czym polega ich praca i jaki jest z niej wspólny pożytek. Że przecież wiersz Tuwima wciąż jest w podręczniku, a jak rozmawiać o jego przesłaniu, nie odwołując się do doświadczeń małych czytelników? Na próżno. Wysłuchałem sporo o swoim braku delikatności, a trochę i o tym, że mógłbym nieco więcej słuchać starszych i lepiej rozumiejących świat koleżanek, a nieco mniej się sprzeczać.

Niedawno rozmawiałem z kolegą polonistą, który wciąż uczy w szkole podstawowej. Opowiadał, że on i jego koledzy mają absolutny zakaz rozmawiania z uczniami o tym, jak który z nich spędzał wakacje. Kiedyś, dawno temu, to właściwie była reguła, że na pierwszych lekcjach po wakacjach zadawało się wypracowanie na temat „Moja wakacyjna przygoda”. Dzieciaki mogły napisać o czymś miłym, jeszcze przez chwilę pożyć atmosferą wakacji. Później czytało się te wypracowania głośno, przy całej klasie. Dziś – nie wolno. Argument ten sam: trzeba uniknąć licytacji i zawstydzania biedniejszych dzieci przez bogatsze. Inna koleżanka opowiadała, że z podobnej racji nie zaleca się na lekcjach rozmów z dziećmi o samochodach, modzie, stylu życia. Pamiętamy odżywającą od czasu do czasu dyskusję o szkolnych mundurkach, dzięki którym jakoby w szkole skończy się wywyższanie jednych dzieci ponad drugie, przechwalanie się drogimi ubraniami itp.

Wciąż budzą w nas oburzenie takie sytuacje, jak choćby segregacja dzieci na szkolnych stołówkach – dla biednych tylko zupa i ziemniaki, dla bogatych także mięso, garnirunek, deser i kompot. Słyszałem o takim rozwiązaniu tego problemu, że aby biedniejsze dzieci nie czuły się gorsze, jadały obiady na innych przerwach niż bogatsze. Czasem, choć coraz rzadziej, oburzenie budzą wycieczki i zielone szkoły tylko dla niektórych, albo maturalne i gimnazjalne bale rujnujące uboższych rodziców niechcących dopuścić do tego, żeby ich dzieci poczuły się gorzej.

Ale może warto zadać pytanie, jaki jest ukryty, głębszy sens

takich prorównościowych działań i postaw. Czy dzieci, z którymi w szkole nie będzie się – wspólnie, przy całej klasie – rozmawiać o tym, jaką pracę wykonują ich rodzice, jaka jest społeczna i finansowa sytuacja ich rodzin, będą w jakikolwiek sposób i przed czymkolwiek chronione? Przecież one – już pierwszoklasiści, już przedszkolaki – rozmawiają ze sobą i doskonale wiedzą, kim są i co robią rodzice kolegów, wiedzą też, może bez szczegółów, którzy zarabiają więcej, a którzy mniej, znają siłę swoich pieniędzy i pieniędzy w ogóle. I będą to wiedziały, będą się tym ekscytować i licytować, pewnie i z takiej przyczyny, że wyczuwają coś ekscytującego w temacie, na jaki z dziećmi nie rozmawia się głośno i oficjalnie.

Skoro z dziećmi, aby ich nie zawstydząć, nie wolno rozmawiać o tym, jaki zawód wykonują ich rodzice, to znaczy, i dla dzieci też to jest czytelne, że istnieją zawody zawstydzające. Że istnieją zawstydzające, choć przecież legalne sposoby zarabiania na chleb i istnieją takie, których się wstydzić nie trzeba. Zawstydzające to te, które przynoszą mizerny dochód, zaś dumnym można być z takich, które przynoszą dochód wielki. I nie wolno mówić o tym, podobno aby nie zniechęcać młodych ludzi do wysiłków i starań, że przecież często takie zawody i sposoby pozyskiwania środków do życia, które choć mają ogromną społeczną doniosłość, są fatalnie wynagradzane, a takie, których społeczną doniosłość wskazać trudno, bywają źródłem gigantycznych fortun. Że choćby pielęgniarki, listonosze, woźni szkolni, sklepowi sprzedawcy i sprzedawczynie czy robotnice i robotnicy w wielu fabrykach, choć żyją uczciwie i przykładają się do swojej pracy zarabiają grosze i wraz ze swoimi rodzinami żyją na pograniczu nędzy, a – powiedzmy – politycy wygrywający kilkadziesiąt razy z rzędu w ruletkę albo bankowcy namawiający swoich klientów na rujnujące polisłokaty mogą się cieszyć niebosięźnymi dochodami i takimże statusem. Biednyś – wstydz się! Oczywiście zrobimy wszystko, żeby oszczędzić ci wstydu, ale im więcej będzie tych starań, tym bardziej będziesz widział, jak zawstydzająca jest twoja bieda. Będziesz widział, że dla twojego dobra o pewnych twoich

sprawach i kłopotach nie mówi się i nie pozwala mówić innym, zamiata się je głęboko pod dywan, a że pod dywanem one – choć już niewidziane – mają jeszcze lepsze warunki rozwoju, że buzują tam, tętnią, wznoszą się, że domagają się ujścia, tym bardziej trzeba je jeszcze upchnąć kołanem. Przekaz taki: biednyś – wstydz się! – zapada głęboko w umysł i serce jako pewnik, jedna z uniwersalnych kategorii oglądu świata.

Warto by tutaj zastanowić się, czy zadaniem wychowawców jest kreować pozornie bezpieczne sztuczne środowisko dla swoich wychowanków, czy też raczej pomagać zrozumieć to istniejące rzeczywistości, nawet gdy wydaje się ono ogromnie skomplikowane i niesprawiedliwe. Przecież żyjemy w kraju o gigantycznych różnicach społecznych – dlaczego miałyby one być niewidzialne akurat w szkole i dla dzieci? Czy zamiast unikać z dziećmi niebezpiecznej i bolesnej rozmowy o modnych ciuchach – bo jeden ma lepsze i zmienia codziennie, a drugi ma dobre, markowe, ale tylko jedną zmianę, którą nosi, aż nie zedrze – nie byłoby lepiej właśnie z nimi o nich porozmawiać i wraz z nimi powiedzieć głośno: jedni mają ubrania droższe, inni tańsze, jedni mają rodziców bogatszych, inni biedniejszych, tak wygląda świat, w jakim żyjemy? Przecież tak wygląda. Może nie?

Czy to byłoby źle, gdyby zamiast zabraniać dzieciakom przechwalania się takim czy innym wyznacznikiem dziecięcego statusu, dać im jasny i oficjalny – bo płynący od autorytetu państwowej szkoły – komunikat: w szkole jest tak, jak w całym naszym kraju, są bogatsi, którzy na różne rzeczy mogą sobie pozwolić, i biedniejsi, którzy muszą obejść się smakiem. Czy to sprawiedliwe? Nie, ale tak jest. Nie jest tak?

Dlaczego nie masz? Dlaczego jesz w stołówce tylko zupę, nie jeździsz na wycieczki, nie masz takich rzeczy, jakie mają inni? Bo jesteś biedny. Taki właśnie jest świat, w którym żyjesz: są w nim ludzie bardzo bogaci, bogaci, tacy średni, biedni i bardzo biedni. Skoro świat jest właśnie taki, bieda musiała na kogoś trafić, trafiła na ciebie. Bo masz matkę

pielęgniarkę, ojca woźnego w szkole, bo rodzice nie mogą znaleźć pracy, bo ojciec oszczędził i nie chce płacić na dzieci, bo – i tak może być – rodzice nie starają się dostatecznie. Jesteś biedny, to nie masz, jasna sprawa. Jaka w tym twoja wina? Żadna. Czy rodzice są winni? Różnie może być. Jaka zasługa tych twoich kolegów, którzy mają? Żadna. Jaka zasługa ich rodziców? Różnie może być. Zazdrościsz? Pewnie, nie masz, to zazdrościsz. Ale wstydzić się nie ma czego. Jesteś z rodziny bogatej lub biednej, wiedz o tym, tak jak wiesz, że masz na imię Krzyś czy Kasia, jesteś dziewczynką lub chłopcem, masz lat osiem lub dziesięć, jesteś Polakiem, chodzisz do szkoły.

Czy to by było źle, gdyby człowiek, potem już dorastający i zupełnie dorosły, posiadał już umiejętność powiedzenia sobie: nie mam tego czy tamtego, co mają inni, bo jestem od nich biedniejszy? Czy to wstyd? Ależ skąd. Żyję w świecie i kraju, w którym są bogatsi i biedniejsi, tych biedniejszych jest więcej – trafiło na mnie. Nie mam, to zazdroścę, chciałbym mieć to, czego nie mam, ale żaden wstyd nie mieć. Mimo takich i takich starań, a i z powodu takich i takich zaniechań, jestem biedny. Nie muszę się wstydzić, więc i nie muszę sobie wyobrażać siebie jako bogatego, wyobrażać, że kiedyś tam odegram się na tych, którzy widzieli moją biedę i mój wstyd. Nie jestem bogaczem in spe, nie wzbogacę się natychmiast, kiedy ktoś tam kogoś tam pogoni, kiedy każdy będzie mógł już bez przeszkód myśleć tylko o sobie. W świecie, w którym żyję, ktoś musi być biedny, dlaczego nie ja? To oczywiście niesprawiedliwe, ale ten świat taki jest, i dopóki taki będzie, będzie niesprawiedliwy. Inna kwestia, czy taki być musi. Mówi się, że zamożność bierze się z ciężkiej pracy i starań. Staram się, pracuję ciężko, ale – różnie może być. Różnie może być.

Autor: Jarosław Górski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

0 AUTORZE

Jarosław Górski (ur. 1970) – polonista, nauczyciel i dziennikarz. Napisał kilkaset artykułów publicystycznych i popularyzujących różne dziedziny sztuki, wydał książkę eseistyczną „Męska rzecz” (o literackich obrazach męskości) oraz powieść obyczajową „Wersje”. Mieszka w Warszawie. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.